

HENRYK DOMAŃSKI I ANDRZEJ RYCHARD

Wprowadzenie. Dekompozycja – chaos – procesy restrukturyzacji

Zastanawiając się nad tytułem książki doszliśmy do wniosku, że powinien on wywoływać skojarzenia z przedmiotem naszych badań i z socjologią. „Elementy nowego ładu” są diagnozą społeczeństwa polskiego połowy lat 90. Socjologia od samego początku zajmowała się badaniem podstaw stabilności, wykrywaniem napięć w stosunkach między ludźmi i dynamiką struktur.

Związki semantyczne odsyłają „nowy ład społeczny” do New Dealu. O ile jednak zainicjowany przez ekipę Roosevelta program walki ze skutkami Wielkiego Kryzysu miał jedynie skorygować niektóre dysfunkcje kapitalizmu, to „nowy ład” w Europie Środkowo-Wschodniej staje się w latach 90. inną jakością w porównaniu z formacją, którą zastąpił. Fakty wskazują na odmienną logikę funkcjonowania struktur i instytucji. Można to również odnieść do stosunków społecznych.

Inna logika i mentalność, czyli nowe reguły i zerwanie pewnej ciągłości. W zamieszczonych studiach analizowane są różnorodne przejawy wyłaniania się „nowego ładu” w Polsce. Samo hasło ma podtekst apelu nawołującego do zachowania wiary: potrzebna jest cierpliwość, czekajmy, pomyślne efekty zmian są sprawą czasu. Amerykanom chodziło o dodanie sobie otuchy patetycznymi hasłami. New Deal był ideą i programem. Analiza socjologiczna ma udzielić odpowiedzi na pytanie, czy i w jakim stopniu „nowy ład” staje się we współczesnej Polsce rzeczywistością.

Zamierzenie to ma swój precedens we wcześniejszej publikacji. W 1993 r. wydaliśmy zbiór studiów *Spoleczeństwo w transformacji*, którego zadaniem była diagnoza stanu początkowego. Skoncentrowano się tam na aktorach uczestniczących w przekształcaniach ustrojowych w celu rozpoznania nowych konfiguracji interesów i przeobrażania się orientacji. Wskazywaliśmy na bariery świadomości i staraliśmy się nakreślić kierunki rozwoju. Była to próba

uporządkowania, zestawienie wyników pierwszych badań z tego okresu z nadzieją wykrycia załączków prawidłowości ułatwiających zrozumienie sensu dokonujących się zmian.

Teraz występujemy w roli ekspertów po raz drugi. Jeśli padnie pytanie, czym ta praca różni się od poprzedniej syntezy o transformacji, to zwracamy przede wszystkim uwagę na przesunięcie zainteresowań badawczych z problematyki zmiany *per se*, w stronę jej następstw. Sam bieg wydarzeń narzuca temat. Od 1989 r. upłynęło trochę czasu, toteż można już rozpoczynać poszukiwanie nowych form, które po okresie żywiowości powinny z wolna zastygać w zmienionym kształcie. Nie jest to jednak kształt ostateczny – ład społeczny jest wciąż *in statu nascendi* „w budowie”. I dlatego właśnie wolimy mówić o elementach nowego ładu niż o wyraźnie już zarysowanej całości.

Po kilku latach mamy bardziej całościowy i wielostronny pogląd na determinanty procesu zmian. Wyniki analiz zaczynają się stopniowo układać w pewien ciąg. Stwarza to pewniejsze podstawy do formułowania uogólnień. Nawet intuicje uzyskują mocniejszą podbudowę.

Zjawiska specyficzne dla Polski trzeba widzieć we właściwych proporcjach, co staje się możliwe, gdy terażniejszość odnoszona jest do przeszłości, a zarazem porównuje się ją z mechanizmami społecznymi w innych krajach. W rozważaniach niektórych autorów tego tomu czytelnik znajdzie elementy obu wątków: historycznego („obciążenia przeszłością”) i komparatystyki międzykrajowej („jak daleko do kapitalizmu”). Wszystkie nurty interpretacji „nowego ładu” należy rozpatrywać w tej perspektywie, a przekonaniu temu dajemy wyraz w pozostałej części wprowadzenia. Dalej bardziej szczegółowo wyłożymy ogniwa porównawczego spektrum, do którego w swych analizach będziemy się starali w różnym zakresie ustosunkować.

Pomimo odmienności, obecny i poprzedni zbiór studiów łączy pewna zasadnicza cecha wspólna. Jest nią odrzucenie normatywizmu i koncentracja na opisie i wyjaśnieniu procesów społecznych bez przesądzania, dokąd prowadzą. Autorów bardziej interesuje dynamika i wewnętrzna logika procesów społecznych niż odnoszenie jej do normatywnego wzorca kapitalizmu. Ten ostatni, jeśli się pojawia w analizach, to nie tyle jako wzorzec normatywny właśnie, ile punkt odniesienia w opisowych analizach porównawczych.

Na koniec słowo o empirycznych podstawach prezentowanych ustaleń. Materiału empirycznego dla większości zamieszczonych studiów dostarczyło ogólnopolskie badanie „Polacy wobec zmian”, przeprowadzone w kwietniu 1995 r. przez pracowników Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Najpierw pojawił się teoretyczny zarys „nowego ładu”, wyspecyfikowano pytania, na które w ramach wspólnie wypracowanej koncepcji należało odpowiedzieć,

a następnie do teoretycznych zamierzeń dostosowano warsztat badań. Innymi słowy, w naszych interpretacjach nie byliśmy zdani na dane, które ktoś już kiedyś zebrał do innych celów, lecz przeciwnie – do hipotez dostosowano najbardziej trafne metody ich weryfikacji. Nie musieliśmy łątać luk. Nie dopasowywaliśmy analiz do zastanego materiału, na którego podstawie nie da się – z konieczności – rozstrzygnąć wszystkich kwestii, o których powiedzieć warto. Wyjaśnienia formułowane *ex ante* od samego początku mają nad interpretacjami *ex post* przewagę większej spójności.

Omawiając specyfikę naszego podejścia skupimy się najpierw na założeniach dotyczących „punktu wyjścia” transformacji, zwracając uwagę szczególnie na aspekt instytucjonalny „starego” i tworzącego się nowego ładu, a następnie przedstawimy założenia dotyczące samego etapu przejścia i wyłaniających się nowych wzorów w strukturze społecznej, które będziemy chcieli zobaczyć w perspektywie porównawczej. To właśnie struktury, wzory instytucjonalne i społeczne w „węższym” sensie określają naturę całego ładu społecznego.

PUNKT WYJŚCIA: OD ZORGANIZOWANEGO BEZŁADU DO NIEZORGANIZOWANEGO ŁADU?

Półwiecze 1945–1995 charakteryzuje się ewolucją od realnosocjalistycznego, narzuconego, porządku instytucjonalnego, który w istocie generował nieład instytucjonalny i dekompozycję systemu, do wyłaniania się porządku postkomunistycznego, obecnego w swych załączkach praktycznie już od początków socjalizmu. Takie założenie leżało u podstaw wielu podejść badawczych zawartych w tej książce. Nie jest więc ona jeszcze jedną analizą „przejścia od monocentryzmu do policentryzmu”, bo w istocie ewolucja ma bardziej skomplikowany charakter.

Dla jej zrozumienia trzeba zaakcentować „głębszą” naturę i tożsamość systemu realnego socjalizmu – systemu, który w wyniku nieskuteczności centralizacji „produkował” spontaniczne rozproszenie instytucjonalne. Postkomunizm z kolei to okres, w którym z pozorów bezładu wyłania się nowy porządek instytucjonalny, często jednak inny niż zakładano w normatywnych wizjach transformacji. Zwracamy więc uwagę na odmienną realną i „zideologizowaną” wizję tej ewolucji: chronologia głębszych przemian instytucjonalnych bowiem nie do końca pokrywa się z chronologią politycznej transformacji, choć jest niewątpliwie z nią związana. W rezultacie dokonująca się ewolucja to raczej przejście od zorganizowanego bezładu – jakim w istocie był socjalizm realny – do wyłaniających się początków zdeorganizowanego ładu.

Założenie takie wydaje się odmienne od przyjmowanych zwykle poglądów na temat natury systemu realnego socjalizmu – czy też komunizmu – i natury przejścia od tego systemu. Potoczna wizja przemian konceptualizuje je bowiem jako przejście od porządku – nie chcianego, ale jednak porządku, ku niepewności i chaosowi – szczególnie w okresie przejściowym. Tymczasem ewolucja zdaje się przebiegać raczej od „zorganizowanego bezładu” ku wyłaniającemu się porządkowi. Założenie takie, choć odmienne od sądów potocznych, od pewnego czasu jest obecne w literaturze. Socjologowie i ekonomiści (od klasycznych już na gruncie polskim *Patologii struktur organizacyjnych* Jadwigi Staniszkis czy prac Janusza Beksiaka i Urszuli Libury) zwracali uwagę na wewnętrzne sprzeczności realnego socjalizmu prowadzące do utraty „sterowności”, żywiołowej decentralizacji i innych „entropijnych” zjawisk w systemie, który kontrolę i sterowanie zjawiskami społecznymi uczynił podstawami swego normatywnego wizerunku. Ostatnio najpełniej w odniesieniu do systemu gospodarczego wyraził to Z. Hockuba w książce *Droga do spontanicznego porządku* (1995), gdzie stawia tezę, iż socjalizm poprzez swe nierównowagi doprowadził do załamania, co otworzyło drogę transformacji, gdy gospodarka wchodzi „w obszar chaotycznych dostosowań” (s. 17) okresu przejściowego, z którego wyłoni się porządek rynkowy. Akceptując ów pogląd, pragniemy jednakże podkreślić, że dla nas chaos i bezład to nie tyle cecha okresu przejściowego, ile raczej immanentna charakterystyka samego realnego socjalizmu, od początku wbudowana w logikę systemu. Co więcej, to właśnie w owym okresie przejściowym widać już załóżki nowego porządku, a wrażenie chaosu bierze się głównie z trudności skonceptualizowania zasad nowego porządku, które odbiegają zarówno od ładu monocentrycznego, jak i od modelowych wyobrażeń o rynku i demokracji. Nie znaczy to jednak, że ich nie ma, to raczej wrażenie chaosu i „przejęciowości” jest do pewnego stopnia pozorne. Nie tyle jest to więc ewolucja od porządku komunistycznego do spontanicznego porządku rynkowego, z chaosem okresu przejściowego (wywołanym, co prawda, sprzecznościami komunizmu), ile raczej przejście od przeorganizowanego chaosu realnego socjalizmu do niezorganizowanego porządku z elementami rynku i demokracji.

Dlaczego system realnego socjalizmu można nazwać „zorganizowanym bezładem”? Określenie takie w pierwszym odruchu budzi protest i zdziwienie. Ale przecież nie jest tak zaskakujące, gdy weźmie się pod uwagę, że represywność, silny stopień scentralizowania i niezdolność do zmian szły w tym systemie w parze z nieskutecznością, wieloma „skutkami ubocznymi” – które w istocie rzeczy wynikały z natury tego systemu, nie były „uboczne” – i z nieprzewidywalnością. Tak więc ideologiczną wizję „gospodarki planowej” i będą-

cą jej, zdawałoby się, fundamentalnym przeciwieństwem koncepcję pełnego totalitaryzmu łączy jedna wspólna cecha. Jest nią traktowanie zideologizowanego obrazu systemu jako jego obrazu rzeczywistego. Bliskość ta pozostaje zastanawiająca, nawet mimo tego, że w przypadku oficjalnych koncepcji „gospodarki planowej” czy „demokratycznego centralizmu” ów ideologiczny obraz jest przedmiotem apologetyki, a w przypadku koncepcji totalitaryzmu – krytyki.

Ten ideologiczny obraz chcemy tu zakwestionować. Przede wszystkim więc zwrócimy uwagę na to, że rozstanie z realnym socjalizmem nie oznacza w istocie przejścia od pewności do niepewności, lecz raczej zmianę typów tej niepewności i sposobów radzenia sobie z nią przez system. Takie spojrzenie na ewolucję rzuca inne światło na problem przewidywalności i kalkulowalności: w oczywisty sposób zyskuje ona teraz większe szanse niż w czasach realnego, paradoksalnie „planowego” socjalizmu. Dalej argumentujemy, że przechodzimy nie tyle od monocentryzmu do pluralizmu, ile raczej od strukturalnej „nieoznaczoności” i rozproszenia do pluralizmu. Jest to przejście od dekompozycji do rekompozycji – zarówno w wymiarze instytucjonalnym, jak i w strukturze społecznej. Takie spojrzenie na naturę zmiany, coraz powszechniej torujące sobie drogę w naukach społecznych, polega przede wszystkim na zakwestionowaniu potocznego obrazu systemu, od którego odchodzimy. To z kolei umożliwia głębsze zrozumienie tego, co dzieje się teraz. Jest tak z prostej przyczyny: zmiana jest „path dependent”, czyli – mówiąc w uproszczeniu – jej kształt zależy przede wszystkim od przeszłości, od dokonywanych w niej wyborów, które ograniczają dzisiejsze wybory i decyzje. Zupełnie inaczej patrzono na transformację na samym jej początku; dla ideologów i części ekspertów, jej kształt zdawał się być bardziej określony przez model wyobrażonej przyszłości, rzeczywistość zdawała się być plastycznie kształtowalna, a przeszłość mało ograniczająca. Uruchamiało to zideologizowane, podbudowane normatywnie myślenie życzeniowe. Coraz bardziej jednak przekonujemy się, że tak nie jest. Dziś – a nawet jutro – zdają się być bardziej określone przez punkt wyjścia niż punkt dojścia. Dlatego warto zajmować się zrozumieniem natury systemu, który odchodzi w przeszłość. Aby to uczynić, trzeba spojrzeć na pewne stereotypowe sądy na temat jego natury. Ich dzieckiem są bowiem także pewne potoczne sądy na temat przejścia od socjalizmu. Jedną z takich „codziennych teorii” na temat natury i charakteru zmiany, która zachodzi w Polsce, są wspomniane wyżej poglądy na temat niepewności i przewidywalności w warunkach starego i nowego systemu. Zgodnie z tym stereotypem, demokracja, a już na pewno przechodzenie do niej, łączy się ze wzrostem niepewności, nieprzewidywalności i może czasem nawet z chaosem. Dalej – przejście od komunizmu do demokracji wiąże się z przejściem

od ustroju, co prawda niesprawnego i nieprzyjemnego, lecz dającego pewność, do ustroju, który kojarzy się z niepewnością. Ten stereotyp chcielibyśmy tu zakwestionować.

Przed wszystkim więc – czy komunizm był systemem opartym na pewności, gdzie niejasność i ryzyko były niskie? Dawał pewność w niektórych sferach, np. zatrudnienie, pewne minimum socjalnej obsługi itp. Ale też wiemy wszyscy, a szczególnie obserwatorzy i aktywni uczestnicy życia gospodarczego w tamtym okresie, ile było w nim realnej niepewności, niejasności i zmienności reguł. Gospodarka, która miała być centralnie kierowana, w istocie nigdy taka nie była. Tworzyły się zjawiska chaotycznej decentralizacji, decydował niejawni przetarg między producentami a centrum, reguły gry zależne były od koniunktury politycznej i zagrożeń społecznych (których nie zalegitymizowana politycznie władza obawiała się bardzo). Rozkwitało życie nieformalne, nie tylko w systemie gospodarczym. Gospodarka praktycznie nigdy nie była – choć usiłowała być – „planowa”, już raczej „nakazowo-rozdzielcza”. W istocie, jak tego wielokrotnie dowodzone, to właśnie ciągła pokusa planowania i kontroli wszystkiego rodziła zjawiska spontaniczne i niekontrolowane. To było ich jedno źródło. Drugim były zaś pokusy centralnego rozdzielnictwa z nieodłączną arbitralnością właściwą wszystkim systemom autokratycznym, które w zmiennej woli władzy upatrują swej siły. To już zdecydowanie przenosiło się poza życie gospodarcze. O ile więc można było być pewnym, że jakąś pracę się znajdzie, o tyle już perspektywy awansu, wyjazdu nie zawsze były jasne i przewidywalne. Sfera tej niepewności rozciągała się od spraw dużych, po całkiem codzienne, co nie znaczy, że mniej ważne: wychodzący z domu po zakupy, mimo że doskonale wiedzieli jaki reprezentują „popyt”, wiedzieli również, że efekt ewentualnej transakcji rynkowej nie będzie zależał od popytu, a od nieprzewidywalnej „podaży” realizującej się w zagadkowym „co dziś rzucą?”. Komunizm jako ustrój pewny, jasny i przewidywalny – to jednak duża przesada, to raczej mit i stereotyp niż rzeczywistość.

Idźmy dalej. Podnosi się często problem przewidywalności i kalkulowalności kosztów w okresie transformacji. Problem ten pojawia się wówczas, gdy mówi się o kosztach samej zmiany, czyli transformacji. Pierwszym, dość mocno ugruntowanym stereotypem myślenia o transformacji jest sam fakt, iż mówi się o kosztach transformacji, nie odnosząc tego problemu do możliwych do wyobrażenia kosztów braku transformacji. Przecież o kwestii kosztów możemy wypowiadać się w odniesieniu do dwóch sytuacji: transformacji i jej braku. Można powiedzieć, że upadek komunizmu był pośrednim dowodem, że koszty funkcjonowania poprzedniego systemu były zbyt wysokie. Co więcej, jednym ze sposobów mobilizowania politycznego kapitału przez polityków pewnych

orientacji już od samego początku zmian było traktowanie jako kosztów transformacji kosztów pozostałych po systemie poprzednim i związanych z jego „upadaniem”. To przecież było przedmiotem sporu: czy są to już koszty zmian, czy też koszty odziedziczone po komunizmie. I spór ten nie mógł być nigdy jednoznacznie rozstrzygnięty m.in. dlatego, że koszty funkcjonowania systemu poprzedniego są trudno kalkulowalne. Jest niewątpliwie jednym z paradoksalnych zysków transformacji, że wprowadzany ład rynkowy umożliwia kalkulację kosztów i w ogóle stawia o wiele bardziej wyraźnie problem kosztów. W istocie więc możliwość mówienia o kosztach transformacji jest czymś pozytywnym, a wrażenie ich wysokości wynika po części z tego, że przedtem w ogóle kosztów nie kalkulowano. System gospodarki nakazowo-rozdzielczej znajdował się w stanie „dezolucji”. Oznaczała ona „niezdolność do racjonalnego kalkulowania własnych działań gospodarczych przez podmioty gospodarujące, w sytuacji gdy zaangażowane w produkcję czynniki ma się „za darmo” lub też „nie sposób ich oszacować” (Giza-Poleszczuk 1991: 209). Kategoria ta, używana do opisu gospodarczego systemu feudalizmu (Kula 1983), nie bez powodu z powodzeniem stosowana była też w analizach socjalizmu realnego. Dziś rzeczywistość staje się nieco bardziej przewidywalna i kalkulowalna i właśnie dlatego możliwość dyskusji o zyskach i kosztach transformacji jest do pewnego stopnia jednym z zysków, które jej zawdzięczamy.

Wróćmy do problematyki niepewności. Czy przypadkiem nie utożsamiamy niepewności nieuchronnie wiążącej się z okresem przejściowym z cechą, która ma być immanentnie związana z nowym ustrojem? Nawiasem mówiąc, już nawet w tym okresie przejściowym odnotować można pewne oznaki budującego się ładu, o czym świadczą także prace zgromadzone w tym tomie. Demokracja zaś, dojrzała tylko w pewnych aspektach, może być kojarzona z niepewnością. Generalnie, nie występują w niej te rodzaje niepewności, które są właściwe ustrojowi komunistycznemu. Nie ma niestabilności reguł, arbitralności, niejasności procedur. Jednostka nie wie, jakie ostatecznie osiągnie miejsce w życiu, ale zna generalne reguły, które pozwalają iść do góry. Nie tyle pewny jest efekt końcowy, ile raczej procedury, które należy stosować. W pewnym sensie jest to odwrócenie sytuacji w porównaniu do systemu komunistycznego. Mówimy tu oczywiście o modelach idealnych, uproszczonych. Ale one pozwalają lepiej dostrzec istotę różnicy. Ona zaś nie polega na tym, że w jednym ustroju nie było niepewności, a w drugim jest jej nadmiar. Niepewność towarzyszy każdemu systemowi instytucjonalnemu. Tym, co te systemy różni, są raczej rodzaje niepewności i sposoby radzenia sobie z nią, sposoby jej redukcji. Odwołując się do Ralpa Dahrendorfa (1968) można powiedzieć, że komunizm próbuje redukować niepewność przez kontrolę celów (plany!), przy niepewności

procedur, a system demokratyczny działa wedle zasady odwrotnej: to procedury są jasne i one redukują niepewność, a rezultaty są niejako pozostawione własnemu biegowi, o ile osiągnane są zgodnie z owymi stabilnymi procedurami.

Można powiedzieć, że niepewność w systemie komunistycznym była niezamierzonym, lecz używanym przez władzę efektem, wynikającym co prawda z istoty samego systemu, a nie z „błędów i wypaczeń” w jego wdrażaniu. Z kolei niepewność w systemie demokratycznym nie jest niezamierzonym złem, lecz stanem niejako naturalnym, a demokracja jest niczym innym jak instytucjonalizowanym sposobem radzenia sobie z tą naturalną niepewnością właśnie dzięki stałości i przejrzystości procedur. Komunizm używał niepewności do zarządzania społeczeństwem, a demokracja używa swych procedur do zarządzania niepewnością.

Poza problemem niepewności warto spojrzeć także w nieco innej perspektywie na kwestię ewolucji od monocentryzmu do pluralizmu. Realnosocjalistyczny monocentryzm miał głównie charakter polityczny, natomiast w oczywisty sposób nie przenosił się na struktury społeczne – a także – instytucjonalne. Tym, co charakteryowało ład społeczno-instytucjonalny, było chyba pewnego rodzaju rozproszenie i raczej destrukuralizacja niż strukturalizacja. W odniesieniu do struktury społecznej (piszemy o tym więcej w następnej części) polegało to na znanym zjawisku dekompozycji cech położenia społecznego. Ta dekompozycja miała jednakże także swój sens instytucjonalny. Polegał on na tym, że system charakteryzował swoisty „niedorozwój funkcjonalny”, polegający na przemieszaniu struktur i pełnionych przez nie funkcji. Podstawą tego zjawiska było zdominowanie gospodarki przez politykę i zasadnicze przemieszanie tych sfer. Prowadziło ono w konsekwencji do stanu, w którym wszystko było „polityką”, a więc, paradoksalnie, prawdziwej polityki nie było w ogóle. W rezultacie tego przemieszania struktury gospodarcze pełniły funkcje polityczne i *vice versa*. Dość wspomnieć rolę przedsiębiorstw przemysłowych jako kanałów artykulacji interesów nie tylko pracowniczych, ale także obywatelskich, a głównie konsumenckich. Przeciż w realnym socjalizmie strajki były przede wszystkim wyrazem protestu przeciw temu, co działo się poza bramami zakładu (głównie podwyżki cen), a nie w jego ramach.

Wiązało się to ze specyficznym rozproszeniem strukturalnym. Ład instytucjonalny, pozornie jednolity, był w rzeczywistości właśnie rozproszony. Niewydolny system państwowy był wspomagany przez pozostającą na obrzeżach prywatną gospodarkę i spleciony z przerastającym go sektorem gospodarki (i nie tylko gospodarki) nieformalnej. Jednostki, w celu kompensacji nieefektywności państwowego, oficjalnego sektora, musiały wchodzić w interakcje,

czyli po prostu zaspokajać część swych potrzeb poprzez kontakty bądź ze sferą nieformalną, bądź z pozostałościami gospodarki prywatnej. Praktycznie wszyscy funkcjonowali w ten sposób. „Rozproszeniu” instytucjonalnemu, kiedy to właściwie trudno było mówić o jednym systemie instytucjonalnym, towarzyszyło rozproszenie na poziomie ról społecznych. I było to właśnie rozproszenie, a nie monocentryzm ani pluralizm. Był tam bowiem podział instytucjonalny i będący jego refleksem podział ról społecznych – a więc trudno tu mówić o pełnym monocentryzmie. Oddzielał on jednak od siebie poszczególne role społeczne danej jednostki, a nie grupy społeczne. Każdy nieomal musiał być klientem wielu systemów czy też podsystemów. Tym właśnie ta sytuacja różniła się od ładu pluralistycznego, gdzie podział następuje na poziomie grup społecznych.

Obecnie sytuacja zdaje się ewoluować w tym kierunku. Zamiast rozproszonego systemu instytucjonalnego coraz wyraźniej wyłaniają się kontury podstawowych segmentów ładu instytucjonalnego, gdzie podział na sektor publiczny i prywatny zdaje się być coraz ważniejszy. On zaś będzie determinował chyba w coraz większym stopniu podział społeczny, jak dzieje się na Zachodzie, gdzie jedną z istotniejszych osi społecznej strukturalizacji jest ta, która oddziela pracowników sektora publicznego i prywatnego. Wówczas podział następuje na poziomie grup społecznych, bliższy jest zatem modelowi pluralistycznemu. Ten klarowny obraz jest jednak jeszcze daleki od zaistnienia w Polsce. Poza innymi czynnikami, zakłóca go funkcjonowanie sporego sektora mieszanego, czy też hybrydowego, gdzie niejasna jest formuła własności (Staniszki 1994). Splot prywatnych i państwowych struktur i interesów jest bowiem wyraźnym rysem okresu przejściowego. Niemniej jednak można chyba dostrzec kontury dokonującej się ewolucji. Zgodnie z przyjętymi tu założeniami, przebiega ona właśnie od rozproszenia, dekompozycji instytucjonalnej ku pluralistycznemu zróżnicowaniu i zwiastunom rekompozycji.

Do pełnej rekompozycji systemu instytucjonalnego droga jest jednak daleka. Jej całkowite spełnienie nie jest ani możliwe, ani pewnie nie byłoby pożądane. Dziś widzimy jej zaczątki głównie na poziomie „instytucjonalizacji oddolnej”, w sferze życia społecznego, gdzie tworzą się nowe normy, takie jak dostrzeganie opłacalności inwestycji edukacyjnych, wzrost skłonności do racjonalnej kalkulacji i planowania. Paradoksalnie, to właśnie w gospodarce „planowej” ludzie nie planowali, żyli raczej czasem teraźniejszym. A dziś, jak wykazują to socjologowie (analizy E. Tarkowskiej w naszym tomie), orientacja na przyszłość staje się bardziej widoczna. Widzimy także pewne zaczątki ładu w sferze gospodarczej – choć zakłócanie przez silny i reprodukujący się sektor hybrydowy. Natomiast w sferze instytucji politycznych i zasadniczych norm

legislacyjnych, a więc w sferze instytucji państwa, panuje stan daleki od spójnej kompozycji. W sumie więc ład instytucjonalny – jeśli przez instytucje rozumiemy zasadnicze normy i reguły stabilizujące porządek społeczny – tworzy się wyraźniej w sferze stosunków społecznych i gospodarczych niż politycznych.

ETAP PRZEJŚCIA

Po kilkuletnim okresie systematycznych analiz można już dokonać wstępnych uogólnień na temat prawidłowości pierwszego etapu zmian. Wyjdźmy poza lokalny kontekst Polski, a nawet specyfikę regionu środkowoeuropejskiego, ujmując dynamikę przekształceń w postaci hasła: społeczeństwo polskie lat 90. na tle prawidłowości typowych dla współczesnych społeczeństw zachodnich.

Zachód, który stanowi miarę zaawansowania zmian gospodarczych i jest modelowym wzorcem demokracji, wyznacza też ramy porównań w obszarze zjawisk społecznych. Poza tym, w socjologii zawsze funkcjonowało kilka nośnych tez, których uniwersalność warto poddawać ocenie. Metoda umiejscowienia Polski na tle krajów zachodnich powinna dostarczyć interesujących wniosków, w których nie wyjdziemy wprawdzie poza ogólne refleksje, ale uogólnienia dotyczące skali makro nie dają się łatwo sprowadzić do ilościowych i ściśle porównywalnych wskaźników. Niemniej jednak, będzie to materiał do kilku uwag wybiegających w przyszłość. Niektóre ustalenia stają się prognozami niezależnie od intencji autorów. Bardziej szczegółowe wnioski pozostawiliśmy autorom poszczególnych studiów tego tomu.

A więc podobieństwa do mechanizmów kształtujących oblicze krajów rozwiniętego kapitalizmu. W socjologicznych studiach hasłem dnia jest zanikanie tradycyjnych podziałów klasowo-warstwowych, zastępowanie ich nowymi oraz zamiana ról pomiędzy zbiorowymi aktorami na scenie życia społecznego. Trafność tych diagnoz jest żywo dyskutowana, bo nie wiadomo do końca, na ile kryje się za nimi rzeczywista głębia zmian, w jakim zaś stopniu są one tylko okazją do wysuwania tez, które mają być spektakularne i głośne. Najmniej wątpliwości wzbudzają zjawiska, które łatwo zaobserwować. „Nowe”, bo od niedawna zaliczane do ważnych, są dramatyczne skutki antagonizmów etnicznych. Podobnie jest z dającą się naocznie stwierdzić skutecznością posunięć organizacji ekologicznych, przebojowością feminizmu, energicznymi działaniami ruchów na rzecz pokoju czy determinacją bojowników równouprawnienia ras i wyzwolenia narodowego – funkcjonujących w podziemiu i w ramach zalegalizowanych struktur. O tych zjawiskach pisze się coraz częściej wskazując,

że kształtują one sposób funkcjonowania społeczeństw, a dla ludzi znaczą więcej niż to, do jakiej klasy się należy i jaką pozycję zawodową zajmuje (zob. Rex 1987; Fuchs-Epstein 1988; Murray 1990; Edger 1993). Odnotujmy jeszcze, gwoli ścisłości, interesy powstających z dnia na dzień odosobnionych grup, zbyt partykularnych w swych żądaniach, aby odegrać większą rolę, o zbyt anegdotycznych nazwach, aby traktować je poważnie (w latach 70. powołano w Anglii „Ochotniczą rezerwę klasy średniej” do obrony interesów ludności w wieku emerytalnym). Tych nie umieścimy na liście nowych podziałów.

Trzeba powiedzieć, że przekształcenia ustrojowe w Polsce nie wyniosły żadnej z tych sił do rangi „klasy społecznej” ani też do roli samodzielnego podmiotu gry politycznej. Łagodny przebieg konfliktów religijno-narodowościowych zawdzięczamy korzystnym uwarunkowaniom brzegowym: za mało jest w naszym kraju przedstawicieli innych nacji, a, z kolei, wymiar różnic wyznaniowych zdominowany jest przez 90-procentową przewagę deklarowanego w badaniach surveyowych katolicyzmu. Aby ruch feministyczny zaczął być traktowany z należytą powagą, potrzebna jest dojrzałość obu stron: jego propagatorów i odbiorców w szerokich kręgach społeczeństwa. Co do ochrony środowiska naturalnego, to wprawdzie upowszechnia się zrozumienie potrzeb w tym zakresie (zob. Gliński 1996; Rokicka 1996), ale bardzo powoli, organizacje ekologiczne zaś jako potencjalny ośrodek krystalizacji interesów nie są konkurencyjne wobec partyjnych struktur ani atrakcyjne dla liderów ruchu. Zresztą i w krajach zachodnich osiągnięcia *greens* są tylko sporadyczne. Nie jest więc przesądzona ich ewentualna kariera w Polsce.

Na drugim planie mamy mozaikę nowych stylów w środowiskach młodzieży, czasem zbliżonych do kontrkultury – przy czym raczej słyszy się niż dostrzega obecność *squatters*, *straight-edge's* i innych tego typu wspólnot o niewielkiej liczebności. Moda i charakterystyczna dla młodszych grup wieku tymczasowość zainteresowań tworzą słabe podłoże konsolidacji. Bardziej zwarci i zdeterminowani są uczestnicy ruchów religijno-światopoglądowych, też nielicznych i nie mających wiele do zaoferowania ogółowi o potrzebach duchowych zakorzenionych w tradycji katolicyzmu.

W przypadku Polski odnajdujemy więc tylko niektóre odpowiedniki „nowych” linii podziału, a i te występują w załączkowej postaci. Ich wpływ na zjawiska różnicowania i integracji struktur można podsumować wskazaniem na implikację konstruktywną: „nowe ruchy społeczne” adaptują się do polskiej rzeczywistości, rozszerzając w ten sposób pole artykulacji potrzeb ważnych i w odczuciu społecznym istotnych. Powiększa to jednak chaos towarzyszący kształtowaniu się demokratycznego ładu. Nie wiadomo do końca, kogo tak



naprawdę nowe grupy i wspólnoty reprezentują. Dużo jest wokół nich zamieszania i nieporozumień, a przede wszystkim ludzi i partii o różnych interesach. Niejasne jest, kto – mówiąc językiem potencjalnego odbiorcy – za nimi stoi. Na razie zaistniały, przecinają strukturę społeczną w rozmaitych kierunkach, tworzą dodatkowe linie podziałów, pozostając wszakże na uboczu głównego nurtu wydarzeń.

Czy wobec tego centralny nurt wspiera się jeszcze na klasycznych fundamentach władzy, kontroli i własności? Wielu badaczy społeczeństw zachodnich dostrzega procesy rozmywania się tradycyjnych struktur we wzroście zamożności klas niższych, uniformizacji stylów konsumpcji, rozpadzie robotniczych wspólnot sąsiedzkich, dokonującym się pod wpływem urbanizacji, a także w rosnącym udziale załóg pracowniczych w zarządzaniu przedsiębiorstwami i zacieraniu różnic między pracą fizyczną i umysłową, w wyniku automatyzacji i pojawiania się nowych technologii (zob. Lunt i Livingstone 1992; Scase 1992; Crompton 1993; Dahrendorf 1993; Edgell 1993). Rozwój kapitału akcyjnego sprawił, że własność i możliwość sprawowania pośredniej kontroli nad środkami produkcji stały się udziałem zdecydowanej większości – fakt, że w społeczeństwie angielskim odsetek posiadaczy domów osiągnął w latach 90. 64% (w rodzinach robotniczych 42%), wyłonił grupę zwolenników poglądu, że podstawowa linia podziału nie przebiega tam między kapitałem a pracą, ale wyznacza ją odrębność kategorii korzystającej z pomocy państwa od znacznie większej klasy posiadaczy, polegających na własnych zasobach (Saunders 1990). To nie tylko dom, ale i własne środki transportu – dokładnie tak Dunleavy i Husbands (1985) zdefiniowali swoją wizję najważniejszej osi zróżnicowania w społeczeństwie brytyjskim, opartej na dychotomii pomiędzy stylem „komercyjnego urynkowienia” i stylem przynależnym kategoriom korzystającym z usług publicznych. Teza o pokrewnej co do przesłania treści akcentuje dominującą rolę podziału na „sektor prywatny” i „sektor państwowy”, z których ten drugi oferuje większe szanse awansu i pewność pracy. Różnica interesów polega zaś na dążeniu pracowników państwowych do windowania płac, co prowadzi do nakładania przez państwo większych podatków, obniża więc dochody właścicieli firm i zatrudnionych w nich osób (McAdams 1987).

Nigdy jednak od czasów pojawiania się tych przepowiedni (występujących pod hasłem „zburzauzyjnienia klasy robotniczej” albo utraty znaczenia pozycji wyznaczonych przez klasy na rzecz identyfikacji przez styl życia i konsumpcji), nie brakowało kontrargumentów: podziały klasowe nie zanikają! Nadal bowiem, mimo ewidentnej redukcji jaskrawych nierówności, zasoby materialne kumulują się w rękach najbogatszych, a podział na szeregowy personel i kadre

sprawującą rzeczywistą kontrolę nad działalnością przedsiębiorstw jest elementem wbudowanym w struktury organizacyjne. Prawda, że coraz więcej rodzin robotniczych może sobie pozwolić na samochód czy nowoczesne wyposażenie domu, ale w miejsce zanikających różnic pojawiają się nowe. W sferze kultury są one związane z tym, co Bourdieu (1985) nazywa odmiennością gustów i smaku. W wymiarze prestiżu, który nie przestaje motywować ludzi do wykazywania innym swojej wartości, giną stare symbole estymy społecznej, związane z zasobnością materialną na skutek umasowienia konsumpcji, ale kategorie o wyższym statusie wynajdują stale nowe insygnia własnej wyższości, konsolidujące tradycyjną hierarchię. Ukazuje to, w sumie, rzeczywistość w bardziej złożonej postaci – przy czym ważne jest to, że po stronie autorów wykazujących trwałość tradycyjnych wyznaczników pozycji klasowej są nie tylko teoretycy, przeważnie zadeklarowani neomarksieści (Milliband 1989; Callinicos 1991), ale i badacze-empirycy, którzy jak Goldthorpe (1987), Marshall (1988) albo Heath (1991) dokumentują utrzymywanie się klas, warstw i grup społeczno-zawodowych.

Jak jest w Polsce? Stratyfikacja społeczna wiąże ogniwa systemu w funkcjonalną całość, toteż rozpad tej całości powinien wznagać chaos powodowany tempem wydarzeń politycznych i ścieraniem się pozostałości gospodarki socjalistycznej z prawami kapitalistycznego rynku. Natomiast trwanie struktur zapowiadałoby reintegrację osi na nowych podstawach. Co zatem z układów klasowo-warstwowych nadal funkcjonuje?

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat wyodrębniło się kilka podstawowych segmentów, z których w drabinie stratyfikacyjnej dominują liczebnie pracownicy fizyczni i chłopstwo – ich relatywny udział wśród ogółu dochodzi odpowiednio do 40% i 12%. Powyżej jest szeroka (obejmująca ok. 25%), zbiorowość pracowników umysłowych średnich i niższych szczebli (łącznie z personelem placówek handlowych), wewnątrz zróżnicowana i najbliższa zachodnim „białym kołnierzykom”. Lockwood (1989) napisałaby tu „białym bluzkom”, ze względu na dominujący wśród pracowników biurowych udział kobiet. Kategoria, podobnie jak pracownicy umysłowi w krajach kapitalistycznych, nijaka w sensie tożsamości, politycznie nieokreślona i kulturowo niejednorodna. Jeszcze wyższe piętra zajmuje inteligencja (10–11%), której przedłużeniem na szczycie hierarchii są kadry kierownicze przedsiębiorstw i instytucji państwowych – władza administracyjno-gospodarcza i polityczna daje kierownikom atrybuty oddzielające ich od środowisk inteligenckich. Ostatnim z wielkich segmentów klasowych są prywatni przedsiębiorcy (8–9%, wg szacunków dokonywanych na podstawie wyników badań).

Czy w latach 90. zmniejszyły się dystanse społeczne między reprezentantami tych klas, osłabła wyrazistość różnic stylu życia i warunków material-

no-bytowych? Czy wystąpiły może masowe przemieszczenia, prowadząc do redukcji barier mobilności społecznej i skutków dziedziczenia statusu rodziców – w takiej sytuacji, to, kim był ojciec i z jakich pozycji zawodowych samemu zaczynało się karierę, nie ma już większego wpływu na osiągnięcia. Nietrudno o dowody, że dzieje się raczej przeciwnie. Zwiększa się konsolidacja struktur, co wykazują analizy empiryczne Henryka Domańskiego przedstawione w pierwszej części tej książki. Przejawem tego procesu jest obserwowany w latach 90. wzrost zbieżności pomiędzy wykształceniem i pozycją zawodową a dochodami, które ludzie w zamian otrzymują. Jest to proces rekonstrukcji hierarchii stratyfikacyjnej. Struktura społeczna w epoce socjalizmu charakteryzowała się stosunkowo silnym rozchwianiem hierarchii dochodów i statusu zawodo-wo-edukacyjnego. Ta dekompozycja ustępuje obecnie rekonstrukcji układu uwarstwienia.

Przemiany strukturalne trzeba oddzielić od świadomościowych, kiedy to (zwłaszcza po kolejnych kryzysach politycznych) większej wagi nabierają podziały typu „my–oni”. Co jakiś czas, jedne problemy stają się dla ludzi bardziej widoczne niż inne, między niektórymi środowiskami pogłębiają się różnice poglądów, podczas gdy przedstawiciele różnych klas społecznych zaczynają mieć podobny stosunek do spraw najwyższego rzędu, np. jak powinien funkcjonować system polityczny i gospodarka. Po powstaniu „Solidarności”, socjologowie badający opinie Polaków zaczęli zwracać uwagę na pewną bliskość postaw – nazwaną sojuszem robotników o wysokich kwalifikacjach z inteligencją – opierając się na danych, z których wynikało, że kategorie te, zajmujące przecież bardzo różne pozycje w hierarchii zawodowej, władzy, prestiżu społecznego i dochodów, podobnie oceniały ustrój i miały zbliżoną wizję pożądanego modelu sprawowania władzy (zob. Adamski i in. 1981; 1986).

Podobnie jest i teraz. Inna optyka poglądów dzieli reprezentantów tych samych zawodów i klas. Nie znaczy to jednak, że poglądy same w sobie stają się od podziałów klasowo-warstwowych ważniejsze lub że je zastępują. Z prowadzonych w różnych krajach badań nad świadomością wiadomo np., że ludzie przypisują większą wagę różnicom dochodów niż abstrakcyjnej klasie społecznej czy zawodowi. Subiektywnie są one dla nich ważniejsze, ale zejźmy w głąb do sił generujących struktury społeczne. Nie zawsze coś subiektywnie ważnego ujawnia mechanizmy tkwiące u podłoża, jak miejsce w zawodowym podziale pracy, które są jednak bardziej pierwotnym ogniwem zależności w łańcuchu zjawisk wywołujących określone deklaracje motywujące do zachowań. Opinie nie są oderwane od strukturalnego podłoża, tyle że ankietowani nie uwzględniają w swych odpowiedziach trwałych uwarunkowań i dalekosiężnych konsekwencji, przesądzających o tym, kim się jest teraz i kim będzie w przyszłości.

Takie wyznaczniki społecznego statusu, jak wykonywany zawód, są ramą szans i barier, tworząc konstrukcję, która determinuje losy życiowe jednostek o wiele silniej niż ich własne przekonania i poglądy.

Można by ulec pokusie sformułowania drugiej z kolei tezy. Pierwsza odnosiła się do struktur społecznych w krajach zachodnich i była domniemaniem o zaniku klasycznych podziałów. Druga dotyczy ich reintegracji w Polsce, kreowanej przez odbudowę układów stratyfikacyjnych i mechanizmy kapitalistycznego rynku, które sprzyjają zaostrzeniu się nierówności społecznych w ogóle. Z reintegracji wynika także istotna w swych konsekwencjach zapowiedź upodobniania się kształtu makrostruktur w Polsce do społeczeństwa kapitalistycznego – w ich ogólnym zarysie. Kilka elementów komplikuje jednak elegancką prostotę wizji reintegracji na tyle, że należałoby ją częściowo zrewidować.

Zbliżanie się kształtu struktury społecznej w Polsce do wzorca dominującego w systemach rynkowych jest, przede wszystkim, tożsame ze wzrostem nierówności. W hierarchii społecznej klasy zamieniają się miejscami. Równocześnie, pod wpływem przemian ustrojowych dokonuje się modyfikacja treści ról i funkcji realizowanych w społecznym podziale pracy przez członków różnych klas. Jednym przypadają pozycje lepsze, innym gorsze niż przedtem; zmiana sytuacji jest odczuwalna przez samych interesowanych i widoczna dla innych, to zaś oznacza reorientację celów życiowych, interesów i strategii.

Jesteśmy świadkami autentycznej restrukturyzacji dotychczasowych podziałów. Uruchamia ona, po jednej stronie, mechanizmy dopasowywania kluczowych elementów statusu. Dochody są obecnie silniej uzależnione od zajmowanych przez ludzi pozycji zawodowych i wykształcenia niż w latach 80. Zwiększa się też korelacja między orientacjami życiowymi, a tym, kim ludzie są obiektywnie rzecz biorąc, czyli, jakie miejsce w strukturze społecznej zajmują (zob. Domański 1994c). W obu tych płaszczyznach – strukturalnej i świadomościowej – tkwią źródła reintegracji. Wzrost dystansów i mechanizmy kreujące nierówności stają się coraz bardziej widoczne. Stare nawyki zderzają się z nowymi wzorami zachowań. Silniej uwydatniają się konflikty zbiorowych i indywidualnych strategii. Czy – wracając do porównań z Zachodem – mamy też w perspektywie procesy rozmywania się barier między segmentami struktury klasowo-warstwowej? Nie na obecnym etapie zmian. Można by w ogóle dyskutować, czy prawdą jest, że wzrost stopy życiowej doprowadził tam do zmniejszenia ostrości podstawowych dystansów społecznych. Jeśli nawet miało to miejsce, to w sensie „skrócenia” niektórych dystansów, ale bez zmiany ich zasadniczych konfiguracji. Powtórzenie się tego scenariusza w Polsce jest co najwyżej sprawą przyszłości i doszukiwanie się analogii w tym aspekcie wydaje się przedwczesne.

Stwierdzenie, które wierniej oddaje złożoność sytuacji w Polsce, brzmi: konsolidacja struktur przejściowo destabilizuje. Ci, którzy stracili, starają się dawne pozycje odzyskać. Innym zaczyna być lepiej niż przedtem, czują się usatysfakcjonowani *status quo*, dążą do jego utrzymania i są po stronie zwolenników zmian. Kilka przykładów pozwoli unaocznic konkretne przejawy stanu przejściowej destabilizacji.

Po pierwsze, złożoność kwestii chłopskiej, która polega na tym, że nie wszyscy właściciele gospodarstw mają negatywny stosunek do wprowadzenia kapitalizmu. Najbardziej innowacyjni widzą perspektywiczne korzyści w uryn-kowieniu rolnictwa – pokazują to np. ogólnopolskie badania Górlacha (1995) z 1994 r., potwierdzając jednak i konserwatywizm większości. Dla klasy chłopskiej, ujmowanej jako całość, bilans zmian ustrojowych był dotąd niekorzystny. Wyrażając ten pogląd, polegamy wyłącznie na twardych wskaźnikach empirycznych, a nie na nastrojach i diagnozach formułowanych przez krytyków i obrońców sprawy chłopskiej. Z systematycznych porównań wynika zaś jednoznacznie, że po 1989 r. nominalne dochody rodzin właścicieli gospodarstw uległy relatywnemu obniżeniu, dając im najniższą pozycję w przekroju podstawowych warstw społeczno-zawodowych. Na przykład w 1995 r. ich dochody stanowiły tylko 63% średniej dla całego kraju, podczas gdy w 1987 r. – 88%. Chłopi mają więc czego bronić – ich tradycjonalizm znajduje mocną podbudowę w tym, co nazywamy reintegracją struktury społecznej.

Drugim wielkim przegranym jest klasa robotnicza i pracownicy fizyczni, jako całość. W sensie materialnym robotnicy musieli stracić, ponieważ coraz większy wpływ na zasady wynagradzania wywiera wycena kwalifikacji zawodowych odpowiednio do potrzeb zgłaszanych przez rynek pracy. Pracownicy fizyczni pozbawiani sukcesywnie instytucjonalnych gwarancji, które zapewniał im poprzedni ustrój, sytuują się mniej korzystnie niż kategorie pracowników umysłowych, poszukiwani na rynku usług, i prywatni przedsiębiorcy. Wiele rozstrzygnięć zapada już niezależnie od decyzji rządu, wyeliminowano szereg przywilejów branżowych, które blokowały prawa popytu i podaży, reszty dokonał rozwój nowych form przedsiębiorczości. Na mocy bezosobowych praw wolnej konkurencji, płace robotników wykwalifikowanych spadły w pierwszej połowie lat 90. poniżej średniej krajowej (kształtowały się w granicach 90–95% średnich wynagrodzeń). Protest ma więc swoje obiektywne uzasadnienie, podobnie jak w przypadku chłopstwa. Wykwalifikowane kadry robotników, mające największe poczucie własnej wartości, przesunęły się w wymiarze stratyfikacji ekonomicznej poniżej pracowników umysłowych średnich szczebli, nad którymi górowały w latach 80. w hierarchii zarobków (zob. Domański 1994c).

Ten sprawozdawczy wręt jest nam potrzebny do wysunięcia jeszcze jednej tezy – o odkryciu klasy robotniczej na nowo. Na zmienionej scenie i w innych dekoracjach „klasa robotnicza” postrzegana jest w roli hamulca postępu. W nie sprzyjających okolicznościach uwydatnił się nie budzący sympatii konserwatyzm robotników i ich podatność na populistyczne hasła, które to skłonności pozostawały w ukryciu, choć nigdy nie były w tym środowisku odosobnione, teza zaś o autorytaryzmie klasy robotniczej (Lipset sformułował ją w odniesieniu do krajów kapitalistycznych) cieszy się nadal popularnością. Cechy wychodzące na jaw obecnie, modyfikują wizerunek robotników i można przewidywać określone konsekwencje tego zwrotu.

Jak zareaguje inteligencja? W latach 70., nastąpiło w Stanach Zjednoczonych ponowne odkrycie „prawdziwej” klasy robotniczej jako bigoteryjnej, reakcyjnej i głupiej (dyskusja o jej autorytaryzmie miała miejsce kilkanaście lat wcześniej). Ośrodkiem tych postaw były klasy średnie, jak wykryli socjologowie (np. Ehrenreich 1990), których zdaniem, krytyka robotników stała się dla *middle class* antidotum na własne stresy, poprawiając im samopoczucie. Dostarczyła usprawiedliwienia własnego konserwatyizmu i reakcyjnych ciągot. Przyjmijmy, że socjologiczna diagnoza stosunków klasowych była trafna. Przychodzi moment, że klasy średnie zaczynają postrzegać robotników w ciemniejszych barwach. Nastawiają się wobec nich negatywnie. Podnosi to temperaturę nastrojów.

Dla Polski nie mamy konkretnych (co znaczy ilościowych, w języku socjologii empirycznej) dowodów, na ile obecny stereotyp robotnika jest negatywny i kojarzy się z zachowawczością. Przypuszczamy, że nie jest to odosobniony sposób percepcji, zwłaszcza z perspektywy typowego reprezentanta środowisk niechętnie usposobionych do radykalizacji nastrojów, które rozumieją, dlaczego powrót z dolnych szczebli hierarchii statusu do stosunków z przeszłości jest niemożliwy i do których adresowane są od czasu do czasu oskarżenia o elitarność. Wybuchy niezadowolenia robotników z powodu niskich płac i złych warunków bytowych pojawiają się w momencie wyjątkowo niedogodnym socjotechnicznie dla ich odbioru, bo w sytuacji, w której większość Polaków przeżywa podobne problemy i stara się nie dopuścić do utraty zdobytych korzyści. Wystąpienia środowisk robotniczych znajdują więc naturalną przeciwwagę, ożywiając wzajemne niechęci i uprzedzenia, związane jeszcze z zadawnionymi animozjami między światem biura i hali fabrycznej.

Teraz lobby inteligenckie. Spójność inteligencji jako warstwy społecznej rozsadza ścieranie się przeciwstawnych orientacji. Tych tradycyjnych, zwróconych z nostalgią w przeszłość – z postawami, które cechuje wola i umiejętność zaadaptowania się do nowych warunków. Rosnące dochody pracujących

inteligentów *en bloc* (tendencję tą dokumentujemy w przedstawionych poniżej analizach) znamionują jedynie awans pewnej części reprezentantów tego środowiska – lekarzy, prawników, artystów, ludzi nauki i pióra, kadry inżynierskiej i biznesu, mających świadomość, jaki użytek można robić ze specjalistycznych kwalifikacji na rynku usług, który promuje ludzi z inicjatywą.

Środowiska te stanęły przed problemem tożsamości. Przez jakiś czas będzie się pewnie jeszcze pogłębiać zróżnicowanie przebiegające od tych, którzy chcą, potrafią i staną się profesjonalistami w rozumieniu zbliżonym do anglosaskich *professions*, do przeciwnego bieguna skupiającego ludzi z dyplomem, nie dostosowanych do wymagań skomercjalizowanego rynku. W pewnym punkcie rozwoju stara kadra zostanie zastąpiona nową – z naszych danych wynika, że w 1995 r. reprezentanci inteligencji mieli wysoką średnią wieku, wynoszącą 47–49 lat i w porównaniu z innymi warstwami zawodowymi ustępowali tylko rolnikom, którzy byli 51-latkami w swej dominancie.

Stawia to pod znakiem zapytania najbliższą przyszłość tej kategorii jako warstwy społecznej, świadomej swojej odrębności i wewnętrznie zwartej – za taką bowiem inteligencja uchodziła do tej pory. W tym miejscu można z czystym sumieniem uciec się do konwencjonalnego zwrotu, że dopiero za kilka lat będziemy w stanie powiedzieć więcej na temat tego, czy rozwarstwienie inteligencji osiągnęło już próg tolerancji, powyżej którego przestanie być ona grupą społeczną, w której następowała kulminacja wartości kultury narodowej i skąd przekazywane były wzory do naśladowania dla innych klas. Dotychczas inteligencja brała na siebie rolę duchowego przywódcy. Jest pytanie, czy zamieni ją na rolę eksperta, tracąc poczucie duchowej wspólnoty i stając się zbiorem specjalistów z certyfikatami wyższych uczelni, dobrze przygotowanych do realizacji ofert zgłaszanych przez kapitalistyczny rynek pracy. Wątek ten rozwijają szerzej Joanna Kurczewska i Marian Kempny w zamieszczonych poniżej esejach o roli tradycji narodowej.

W ścisłym związku pozostaje tu możliwość pogodzenia etosu wychowawcy narodu z rolą *professions*, przenikniętych ideą kontraktu. To ostatnie odbiega od tradycyjnego obrazu inteligencji, funkcjonującego zresztą do dziś w świadomości społecznej. W świetle opinii uzyskanych w ogólnopolskim badaniu z kwietnia 1995 r. (na które stale będziemy się tu powoływać) nie mniej niż 60–70% reprezentantów dorosłej ludności wskazywało, że powinnością inteligencji jest „wychowywać”, „kierować”, „uczyć”, „podnosić świadomość narodową”, a najciekawsze, że odsetek tych deklaracji był w różnych kategoriach społecznych zbliżony. Robotnicy i chłopcy nie różnili się w tych opiniach od samej inteligencji.

Należałoby w związku z tym przypomnieć, że w historii były już przykłady bezkonfliktowej symbiozy starych klas z wchodzącymi na scenę społeczną siłami postępu. Kiedy w Anglii rozpoczynał się rozwój kapitalizmu i interesy biznesu zdominowały ekonomiczne dążenia arystokracji, klasy wyższe pozostały jednak hegemonem w sferze kultury i stylu. Obie strony zaakceptowały wszakże własną odmiennosc. Cain i Hopkins (1991) określili mianem *gentlemanly capitalism* stan korzystnej dla obu stron koegzystencji (wolna konkurencja, niskie podatki, rząd zajmuje się tylko pilnowaniem porządku). Przenieśmy obecną sytuację Polski w inne miejsce i w przeszłość i wyobraźmy sobie perspektywę pogodzenia naszej tradycji z nowoczesnością. Wiktoriański liberalizm byłby odpowiednikiem ideologii nowej inteligencji, rozpoczynającej karierę *professions* – natomiast w arystokratycznej tradycji, którą do dzisiaj przesiąknięte jest społeczeństwo angielskie, są pewne analogie z tradycyjnym etosem polskiego inteligenta.

Z głównych aktorów pozostaje się odnieść do kategorii prywatnych przedsiębiorców. Zastanawiając się nad tym, jakie nastroje dominują w tej zbiorowości, trzeba mieć na uwadze jej młody wiek. Średnia 40 lat jest najniższa w przekroju podstawowych warstw społeczno-zawodowych. Związany z tym krótki staż i brak obciążeń mogą mieć kilka pozytywnych skutków. Na przykład to, że mniej zawiodły ich oczekiwania, w porównaniu, chociażby, z inteligentami, czekającymi na swój moment przez dziesięciolecia. W przeciwieństwie do inteligencji nie jest to również grupa społeczna, której członkowie czuliby się zobowiązani do kontynuowania związków z przeszłością. Zapewne zresztą ze względu na stosunkowo młody wiek, przeważają wśród nich bardziej pragmatyczne orientacje.

Dynamika liczebnego wzrostu właścicieli jest zdecydowanie największa, ale nie powoduje destabilizacji. Natomiast w przejściowym okresie kształtowania się „nowego ładu”, przedsiębiorcy są najbardziej przejściową kategorią ze wszystkich klas społecznych w Polsce. Świadectwem tego są wzmożone procesy napływu i fluktuacja – jak pokażemy kategoria ta wyróżnia się stosunkowo największą mobilnością (porównując stan obecny z momentem podjęcia pierwszej pracy). Cecha przejściowości ma jednak również głębszy sens, polegający na tym, że środowiska biznesu, obecnie tworzące jeszcze pewną całość, będą ulegały rozpadowi na oddzielne warstwy, różniące się siłą ekonomiczną i zasobami. Zapowiedzi tego procesu dają się zaobserwować od kilku lat w sferze dochodów. Właściciele tracą uprzywilejowaną pozycję na rzecz inteligencji i kadr kierowniczych najwyższego szczebla, co odzwierciedla przede wszystkim postępujący wzrost zróżnicowania wewnątrz spójnej jeszcze do niedawna kategorii. Mówimy o danych z surveyów, które oczywiście nie obejmują wielkiego biznesu. Odnotowane na początku lat 90., średnie dochody

przedsiębiorców zapewniały im miejsce na szczycie hierarchii. Fakt, że w połowie obecnej dekady były one już niższe od dochodów rodzin inteligentkich, nie świadczy o niczym innym, jak tylko o rozchodzeniu się pozycji górnych, średnich i drobnych właścicieli – ci drudzy schodzą w dół, bliżej środka.

*

W miarę realistyczna prognoza musi być z konieczności zestawem alternatyw, którym odpowiada określony scenariusz zmian. Jedną z możliwych wersji jest zdanie się na żywiołowy rozwój zdarzeń. Oznaczałoby to utrzymywanie się w ciągu najbliższych lat „prześciowych” (?) strategii radzenia sobie z nową rzeczywistością, wypróbowanych do tej pory z różnym powodzeniem przez jednostki i zbiorowych aktorów. Sformułowanie to opatrujemy znakiem zapytania, ponieważ nie jesteśmy pewni, czy nadal, po blisko dekadę trwającej transformacji, można mówić o „prześciowości”? Czy sformułowanie to nie jest przypadkiem tylko naszym sposobem radzenia sobie z zakłopotaniem, że stan obecny odbiega od wyobrażeń na temat ładu rynkowego i demokratycznego? Nie musi to przecież wcale świadczyć o tym, że jest on prześciowy. Co do możliwości alternatywnych, to są one różnymi wariantami dróg pośrednich pomiędzy punktem wyjścia, umiejscowionym w końcu lat 80., i technokratyczną utopią odgórnego ustanowienia systemu rynkowego, w trybie przyspieszonym i bez liczenia się z preferencjami społecznymi względem tempa tych zmian. Wariantem pośrednim jest np. ewolucja w stronę polskiej odmiany *gentlemanly capitalism*. Polegałoby to na dopasowywaniu specyficznych, uwarunkowanych historycznie, cech mentalności Polaków do rozwiązań typowych dla nowoczesnych społeczeństw rynkowych.

Wizja ta jest obiecująca, ale nie dla wszystkich w tym samym stopniu. „Dżentelmeński układ” jest możliwy tylko pomiędzy reprezentantami dominującej w sferze ideowej inteligencji a rzecznikami rozwoju kapitalizmu w Polsce. Niektórym odłacom inteligencji „nowy ład” przyniósł już pewne korzyści, podobnie kierowniczym kadrom firm i instytucji państwowych, bliskim wzorom *civil service*, jak również biznesowi. Zawarcie niepisanego kontraktu jest w interesie środowisk zajmujących wysokie pozycje. W dalszej perspektywie jest to jeden z elementów milczącej umowy, obejmującej stopniowo coraz szerszy krąg społeczeństwa, do której dochodzi się w wyniku zrozumienia korzyści płynących ze stabilizacji i uporządkowania stosunków. Jednakże dziś jeszcze to nie kompromis pomiędzy zmieniającą się inteligencją a rzecznikami kapitalizmu jest w Polsce najbardziej potrzebny. Nie tu są bowiem główne źródła napięć. Główną polską klasą „starego porządku”, „polską arystokracją” – by raz jeszcze odwołać się do przykładu brytyjskiego – nie są przecież sami inteligenci,

ale generalnie cała warstwa pracownicza o interesach uformowanych przez instytucje gospodarki nakazowo-rozdzielczej. To przede wszystkim robotnicy, choć nie tylko do nich ograniczony jest ten segment struktury. O nim pisze w swym artykule Edmund Mokrzycki i tu potrzeba jakiegoś kompromisowego kontraktu rysuje się najwyraźniej. Nadanie mu kształtu jest jednak powinnością polityków, analizy socjologów mogą zaś dla tego typu działań stanowić ważny diagnostyczny punkt wyjścia.

WNIOSKI Z ANALIZ

Trzy obszary tematyczne, problemy i zjawiska znalazły się w polu zamierzonej przez nas diagnozy elementów „nowego ładu”.

Obszar pierwszy to struktura społeczna i świat instytucji. Zaczynamy od kontrapunktu wobec mocnych tez o zarysowywaniu się w Polsce zasadniczego zwrotu. W rozdziale „Od protokapitalizmu do posocjalizmu” stwierdza się, że „realny socjalizm” stał się realny również w swych makrospołecznych konsekwencjach. Wytworzył bowiem własne mechanizmy obrony społecznego *status quo*. „Proto-” i „po” – to nic innego, jak tylko charakterystyki nie zmieniającej się w swej istocie substancji społecznej. Połowiczność rozwiązań cechuje zarówno mechanizmy zróżnicowania społecznego, system gospodarczy, jak i struktury instytucjonalne. Taka jest teza. Tytuł można sparafrazować: od (przedwojennego) quasi-kapitalizmu do quasi-socjalizmu.

W rozdziale drugim zarysowany jest kształt hierarchii stratyfikacyjnej w Polsce i dynamika przekształceń, które się w niej dokonały od początku lat 80. Najważniejsze są tu następujące kwestie: czy zwiększyły się nierówności, które z podstawowych kategorii społecznych przesunęły się w górę, a które w dół, czy możliwości przechodzenia z jednych warstw do drugich są obecnie większe, czy też odwrotnie – bariery mobilności wzrosły?

W rozdziale trzecim zaglądamy się w wymiar odbiegający od konwencjonalnego opisu makrostruktur, a mianowicie w zróżnicowanie, którego źródłem jest odmienna sytuacja rodzin. Zestawienie podziału na robotników, chłopów, inteligencję i środowiska biznesu z różnorodnością źródeł utrzymania, skalą wielozawodowości i dodatkowej pracy, zdaje sprawę ze złożonej mapy hierarchii i dystansów. W rozdziale czwartym omawiamy wizje podziałów społecznych zarysowujących się w potocznej świadomości. Hasłem wywoławczym kolejnego obszaru nowej rzeczywistości są instytucje. I tak, rozdział piąty jest monograficzną charakterystyką funkcjonowania przedsiębiorstw, przeprowadzoną w ramach badań nad strategiami dostosowawczymi firm do

warunków gospodarki rynkowej. Z poziomu grup i jednostek przechodzimy na poziom organizacji radzących sobie w nowych warunkach. Kto staje się głównym aktorem transformacji na szczeblu firm, tam gdzie struktury społeczne przecinają się z gospodarką – oto centralny problem. W kolejnym rozdziale analizowana jest prywatyzacja jako istotny element ładu instytucjonalnego. Jednakże autor przekonuje nas, że prywatyzacja jest specyficzną „instytucją antycypowaną”, która bardziej wpływa na kształt systemu poprzez zamierzenia i projekty przyszłości niż rezultaty. Ten „miękki” wpływ jest także bardzo istotny, ponieważ polega m.in. na zmianie systemu przewidywań i planowania dokonywanego przez wielu aktorów. Oczekiwanie prywatyzacji modyfikuje wiele struktur i działań, nawet gdy wyprzedza „twarde” zmiany. Osobnym zagadnieniem jest stosunek ludzi do instytucji. Obiektywnie rzecz biorąc, to ludzie mają teraz większy wybór w zakresie korzystania z rozmaitych świadczeń i udogodnień. Ale warto się było przekonać, czy ten stereotypowy pogląd znajduje potwierdzenie w opiniach reprezentantów różnych środowisk. To, jak ludzie oceniają możliwości wyboru (od wpływu na władze lokalne po zakupy), jest interesujące samo w sobie, nas jednak interesowały najbardziej nowe sieci powiązań, które dają się odtworzyć na podstawie tych ocen. Po przedstawieniu, jak ludzie postrzegają instytucje, zajęliśmy stanowisko w kontynuowanej stale debacie na temat klasy średniej w Polsce, jej przyszłości, sił blokujących rozwój i czynników rozwoju. Wpływ polityki ekonomicznej rządu i partii politycznych na wyłanianie się klasy średniej i innych „klas” – kwestię tę podejmujemy na koniec pierwszej części – jest stosunkowo nowym wątkiem.

Część druga poświęcona jest nowym stylom i orientacjom. Sprawą przeszłości, ale rzeczywistą i wyraźnie zarysowaną, są różnice społeczne w zakresie rozporządzania wolnym czasem i stosunkiem do zdrowia. Potraktowaliśmy je tu jako aspekty stylu życia i istotne wymiary podziałów społecznych we współczesnej Polsce. Nie analizowano ich dotąd w kontekście transformacji. Obraz ten ulega jeszcze większemu skomplikowaniu, jeżeli uwzględnimy zróżnicowanie orientacji i postaw. To temat kolejnych rozdziałów, w których na strukturę społeczną patrzymy pod kątem dokonywanej przez ludzi samooceny warunków materialno-bytowych i skłonności do aktywnego zabiegania o własne interesy ekonomiczne, przeciwstawione bierności.

W strukturze podziałów społecznych usytuowane są jeszcze inne orientacje i dążenia. Ich znakiem są: indywidualizm, woła polegania na sobie w dążeniach życiowych, orientacja na sukces i mobilność, aktywność w realizacji celów oraz uniwersalizm w myśleniu, przy stosunkowo słabszej więzi z miejscem zamieszkania, kręgiem sąsiedzkim, terytorium – przykładowo deklarowane przez ludzi przywiązanie do własnego miasta, wsi czy osiedla zostało w jednym ze studiów

potraktowane jako wskaźnik tradycjonalizmu. Ważne jest, kto przypisuje większe znaczenie tym wartościom, dla kogo zaś kategorie te są (i pozostaną) bardziej obce. Czy w miarę upływu czasu ich intensywność się zwiększa? Na te pytania staraliśmy się przede wszystkim odpowiedzieć.

Na zakończenie oferujemy wkład do dyskusji na temat społeczeństwa obywatelskiego, którego wizja stanowi immanentny składnik pozytywnego modelu demokracji. Może czymś nowym będzie ujęcie tego modnego problemu w trójkacie pojęć: społeczeństwo obywatelskie – kultura – patriotyzm, któremu to tematowi poświęcone są dwa opracowania zbliżone gatunkowo do esejów. Czytelnik będzie miał okazję skonfrontować wyniki teoretycznej refleksji na temat fundamentów partycypacji obywatelskiej z analizą jej konkretnych przejawów. Ponownie mowa jest o aktorach w infrastrukturze rozmaitych organizacji i ich postawach, które w sytuacji badania ankietowego jesteśmy w stanie uchwycić. Poszukiwanie śladów wizji daje dobry wgląd w strukturę społeczną od strony więzi i integracji. Odrębnym aspektem „starych” i „nowych” podziałów są w Polsce podziały narodowościowo-etniczne, środowiska kontrkultury, imigranci. Temat rozpoznany jest dość słabo, dopiero teraz zaczyna być przedmiotem badań. Sygnalizujemy go w tekście o stosunku Polaków do „innych” opierając się na analizie potocznych opinii, po czym następuje omówienie form uczestnictwa mniejszości narodowych w Trzeciej Rzeczypospolitej.

Wszystkich ważnych zagadnień nie da się równocześnie opisać. Nie wnika my też w rzeczy szczegółowe i aktualne, ponieważ chodzi tu o wykrywanie mechanizmów i tendencji, a nie komentarz do bieżących wydarzeń. Społeczeństwo polskie wygląda nieco inaczej, kiedy patrzy na nie reporter zapisujący na gorąco fakty. W inny sposób relacjonuje je socjolog poszukujący przede wszystkim prawidłowości, które nie są wprawdzie bezpośrednio obserwowalnym konkretem, ale stanowią tryby koła zamachowego kształtującego bieg spraw, z którymi się żyje na co dzień.